
JANUSZ KAMOCKI

SPOTKANIE Z KAZACHSTANEM

To właściwie było zabawne – taki po latach powrót do krainy młodzięcych marzeń. Pamiętam, że w okresie studenckim fascynowała mnie kultura ludów turańskich. W którymś roku przez cały trymestr referowałem na seminarium z etnografii pozaeuropejskiej problematykę etnograficzną Turanu, w następnym roku też do tego wracałem. Chciałem nawet pisać pracę magisterską związaną z tym kręgiem kulturowym, ale profesor Kazimierz Moszyński skutecznie mi odradził.

– Przecież – mówił – nie ma pan źródeł. Te, którymi może pan dysponować, pochodzą sprzed rewolucji rosyjskiej. Nowych badań tam nikt nie robił, a w każdym razie nikt o nich wiarogodnie nie pisał. Więc zrobi pan pracę na podstawie przestarzałych materiałów. Ja ją ocenię, dam panu bardzo dobry, bo znam pana i wiem, że będzie solidnie napisana, a potem schowam ją do tej szuflady – i tu wskazał mi na najniższą szufladę swego biurka. – A wie pan dlaczego tam? Bo jestem już stary, boli mnie kręgosłup, ciężko mi się schylać, więc tam kładę te teksty, po które nigdy nie będę musiał sięgać. Chwilę pomilczał, a potem dodał: – Ja zaproponuję panu inny temat, mniej może ciekawy, ale ważny. Już przed wojną mówiono, że trzeba by to opracować, ale nikomu z nas nie chciało się tym zajmować. Ale to potrzebne, jak pan to napisze, to po roku praca wyjdzie drukiem i wtedy każdy z etnografów, który usłyszy pańskie nazwisko, będzie się pytał, czy to autor tej pracy...

Cóż, Moszyński rozwił moje marzenia o pracy nad kulturami Azji Środkowej, napisałem pracę magisterską chyba rzeczywiście potrzebną, skoro już po trzynastu miesiącach PTL ją wydał (a następnie przez ileś tam pokoleń studenckich byłem przeklinany), a która powinna być sprzedawana w aptekach jako łagodny środek usypiający. O badaniach w ZSRR nawet marzyć było trudno, wydawać by się mogło, że młodzięcze zafascynowanie stepowymi ludami turańskimi mogę odłożyć na zawsze.

Minęło wiele lat. ZSRR wprawdzie wtedy jeszcze się nie rozsypał całkowicie, ale już się rozchwiał i nie był tym, co niegdyś. Pojawiły się nowe możliwości. Po parodniowej jeździe pociągiem, wysiadłem w Pietropawłowsku, mieście w północnej części Kazachstanu. Do przesiadki do Kokszetau miałem chyba ze trzy godziny, więc czym prędzej wyniosłem się ze śmierzącego dworca kolejowego (ustępy były tam myte chyba jeszcze za cara!) na spory skwer przeddworcowy, z pomnikiem Lenina w środku. I tu – nie wierzę własnym oczom: na skraju skweru, w środku sporego, kilkudziesięciotysięcznego miasta stoi autentyczna jurta kazachska! Łapię aparat fotograficzny, robię zdjęcia –

a potem grzecznie pytam się kobiet coś pichcących w piecyku przed jurtą, czy można fotografować. Jeśli zabronią – to je serdecznie przeproszę, a tak czy tak, zdjęcia mieć będę. Ale z jurty wychodzi starszy mężczyzna z licznymi odznaczeniami na cywilnej zresztą marynarce.

– Wy turysta? – pyta – A skąd?

– Z Polski.

– Z Polski? Ja znam Polskę. My do Berlina szli przez Polskę. A ty pamiętasz te czasy?

Śmieję się i pokazuję na brodę:

– Widzisz przecież, że broda siwa.

– A który ty rocznik?

– Dwudziesty siódmy.

– To ty w czasie wojny byłeś już dojrzałym młodzieńcem (*charoszy pareń*). A co, czy wojowałeś?

– Wojowałem.

– A gdzie?

– W polskiej partyzantce.

– Ty polski partyzant!

– Uściskał mnie serdecznie i ucałował w oba policzki, a ja miałem wrażenie, że całowałem się chyba z całą gorzelnią.

– Chodź do środka!

Nie trzeba było mi tego powtarzać – weszliśmy do jurty, w której siedziało kilku starszych panów obwieszonych medalami. Przewodnik przedstawił mnie:

– Ten towarzysz, to polski partyzant. Hurra dla niego!

Siedzący towarzysze gromko krzyknęli hurra, podnosząc ku mnie szklanek z wódką. Czym prędzej też zatroskali się, abym i ja dostał swoją szklankę. Na szczęście, gdyż na niskim stoliczku w środku jurty stała misa z baraniną w tłustym sosie, bez wódki nie mógłbym tego przełknąć. Zapomniałem w swej wędrówce, że to był akurat dziewiąty maja, nigdy zresztą nie myślałem o tym dniu jako o jakimś święcie (co najwyżej kiedyś jako o dniu wolnym od pracy), a tymczasem tu uroczyście obchodzono „prazdnik pabiedy” i miejscowy kołchoz wystawił jurtę, aby w niej podejmować swych weteranów. A przy okazji i mnie. Bractwo tego popijało, śpiewało rosyjskie pieśni wojskowe, co mnie specjalnie nie interesowało, ale w pewnym momencie najmłodszy (chyba syn któregoś z weteranów) wziął do ręki instrument podobny do gitary – i popłynęły pieśni kazachskie. Oczywiście od razu też wychylił się z mej kieszeni mały magnetofon podróżny – a gdy nadszedł czas odjazdu mego pociągu, z prawdziwym żalem mnie żegnano. A ja sobie tak po cichu myślałem: „Żebyście wiedzieli, co ja wówczas myślałem o tym waszym »wyzwoleniu«, gdy szliście przez Polskę, to może tak serdecznie byście mnie dziś nie podejmowali...”.

Naturalnie, do Kazachstanu nie jechałem po to, by w jurcie zapijać wódką tłustą baraninę. Wcześniejsze kontakty pomiędzy polskim podziemiem niepodległościowym a ruchami niepodległościowymi różnych ludów z coraz bardziej trzeszczącego w szwach imperium sowieckiego pozwoliły nam na odkrycie licznych kolonii polskich w Kazachstanie. Praktycznie wzięwszy o tamtejszych Polakach nic nie było wiadomo. W wydanym w roku 1964 przez Akademię Nauk ZSRR „Atlasie Narodów Mira” na terenach Kazachstanu znaj-

dowały się wprawdzie całe obszary zaznaczone jako zasiedlone przez Polaków, ale do Polski nie docierały żadne wiadomości o ich losie. Wiedziano o wywózkach na Syberię i do Kazachstanu Polaków z Kresów – ale wiadomo było, że ci, co przeżyli, albo wyszli z armią Andersa do Persji, albo wrócili po wojnie do Polski.

Tragiczne losy tych, których traktat ryski zostawił po wschodniej stronie granicy polsko-sowieckiej były nieznane. Właściwie nie tyle nieznane – sądzę, że w wielu przypadkach ludzie woleli ich nie znać. Pewne rzeczy trudno im było przyjmować do wiadomości. Gdy mówiło się o tamtejszych Polakach, to spotykało się albo z niedowierzaniem, albo z uwagami, że jeśli nie wrócili do Polski po wojnie, to znaczy, że jest im tam dobrze. Nie rozumiano, że powojenna repatriacja nie mogła ich objąć, gdyż wywiezieni w okresie międzywojennym byli obywatelami sowieckimi, a repatriacja obejmowała jedynie tych, którzy w 1939 roku byli obywatelami polskimi i przez Sowietów zostali ekspatriowani na wschód. Nie obejmowała więc Polaków z Żytomierszczyzny, których w latach 1936–1937 masowo NKWD wywoziło do Kazachstanu.



Oziornoje – współczesna wieś polska w Kazachstanie.

Paru z naszych działaczy pod różnymi pretekstami zaczęło przemierzać różne obszary ZSRR, ze zdumieniem odkrywając ogromną liczbę rodaków, dla których Polska często była nieledwie mitem, krajem, o którego zobaczeniu można było jedynie marzyć. I gdy tylko zaczęło to i owo pękać w systemie sowieckim, pojawiły się wśród nich nadzieje na możliwość przesiedlenia się do Polski. Cóż, Polska zaraz po wojnie z konieczności potrafiła zorganizować przesiedlenie paru milionów ludzi z Kresów na zachód – może i teraz mogłaby na puste przestrzenie (których przecież u nas nie brakuje) przyjąć parędziesiąt tysięcy Polaków. Ale powstało pytanie – ilu byłoby chętnych? Dziesiątki, setki, tysiące rodzin?

Toteż Piotr Hlebowicz i Maciej Ruszczyński, obaj związani z Wydziałem Wschodnim „Solidarności Walczącej” oraz nielegalnym Instytutem Badawczym Polska-Wschód im. generała Macieja Sulkiwicza, wraz z grupą tamtejszych Polaków opracowali ankietę (sondażową) dla kandydatów na przesiedlenie się do Polski i rozprawdzili ją wśród Polaków w północnym Kazachstanie. Był to początek roku 1992. Pomagały im w tym rodziny Rupetów i Jaworskich. Na adres Ambasady Polskiej w Moskwie, władz w Warszawie i na nasz adres krakowski (wiosną 1992 roku stworzyliśmy w Krakowie Społeczny Komitet Pomocy Polakom w Azji Środkowej) zaczęły przychodzić setki zgłoszeń.

Na inicjatorów ankiety i na nasz komitet posypały się gromy („Gazeta Wyborcza” łągała na temat komitetu i opluwała Hlebowicza, przypisując mu oszustwa finansowe itd, oczywiście, sprostowania komitetu nie opublikowała, a Hlebowicza przeprosiła wzmianką wydrukowaną *petitem* dopiero po zagrożeniu sprawą sądową), bo gdyby nie ta ankietka, nie byłoby całego, złożonego zresztą problemu. A na zajęcie się nim władze nie miały ochoty. Wprawdzie ja nie miałem nic wspólnego z tą ankietą, ale na mnie się skrupiło. Jeszcze w wiele lat potem spotykałem się z zarzutami, że była mojego autorstwa, a napisałem ją i rozprawdziłem, aby rozbudzić wśród kazachstańskich Polaków nieuzasadnione nadzieje na szybką repatriację i wymusić na polskich władzach jej przeprowadzenie.

Gdy wybuchła „bomba” z ankietami, sympatyzująca z naszą akcją pani senator Jadwiga Rudnicka (z Gliwic) wpłynęła na Senacką Komisję kontaktów z Polonią, by ta zaczęła nas zapraszać na swe posiedzenia. Praktycznie od tego momentu rozpoczęły się rozmowy o repatriacji i o przyszłej ustawie państwowej. To była chyba wiosna 1992 roku. Jeździliśmy na posiedzenia kilkakrotnie.

Niebywałym tupetem wykazały się niektóre środowiska ministerialne, posługując się osobą Jana Gajewskiego, który używał nieprawnie przydomku „Plater”. Był z Kazachstanu, z Karagandy, i jakimś cudem w latach 80. władze polskie pozwoliły mu się osiedlić w Warszawie, nawet otrzymał mieszkanie. Prawdopodobnie wyjechał z Kazachstanu na papierach, które wyłudził od rodziny Platerów, mieszkającej w Ałmaty. Szarogęsił się w Kazachstanie, jeździł tam często i przedstawiał jako oficjalny przedstawiciel Polskiego MSZ-etu, oraz Wspólnoty Polskiej. Tak go traktowała i miejscowa Polonia, i regionalne Kazachskie władze.

Torpedował nasze działania prorepatriacyjne, na spotkaniach z naszymi rodakami przedstawiał „oficjalne” stanowisko władz warszawskich, mówiąc:

Repatriacji żadnej nie będzie, w Polsce nikt na was nie czeka, i nikt nawet się nie zastanawia, by was tam wziąć. Nie będzie żadnych ustaw i pomocy w przejazdach oraz adaptacji.

Natomiast przyjeżdżając do Polski, przedstawiał punkt widzenia środowisk polonijnych z Kazachstanu:

Oni tam nie są zainteresowani przyjazdem do Polski, tylko jednostki pragnęłyby się osiedlić w Polsce. Nie ma więc żadnego problemu repatriacyjnego.

Parokrotnie zadawaliśmy pytanie ludziom z MSZ-etu i „Wspólnoty Polskiej”, czy pan ten rzeczywiście ich reprezentuje tam, w Kazachstanie. Nigdy nie dali jednoznacznej odpowiedzi, widocznie taka sytuacja im w zupełności odpowiadała.

Po jakimś czasie spacyfikowaliśmy osobę Gajewskiego – środowiska polonijne otrzymały od nas wyczerpujące informacje o tej osobie i jego poczynaniach przeciw repatriacji. Po tej akcji był już przyjmowany nader chłodno, nikt nie chciał z nim rozmawiać. Jedyne władze terenowe były zainteresowane kontaktami z Gajewskim. Raz gdy mieszkał w hotelu w Kokczetawie, na drugi dzień miał uczestniczyć w jakichś uroczystościach. Hlebowicz lub Ruszczyński zadzwonił do niego i poinformował, że jeśli się pojawi, oficjalnie wszem i wobec będzie powiedziane, kim jest naprawdę. W następnym dniu dowiedzieliśmy się, że po tym telefonie bardzo szybko się spakował i kazał zawieźć na dworzec. I tyle go widzieliśmy. Na zorganizowanym w Krakowie przez Klub Inteligencji Katolickiej spotkaniu z tym panem, Hlebowicz i Ruszczyński chcieli zadać mu niewygodne pytania (po jego „wykładzie”). Jednak gdy zaczęli pytać i zarzucili mu nieprawdę i mijanie się z faktami, po chwili Gajewski w pośpiechu opuścił salę, ku zdziwieniu ludzi. Prowadzący spotkanie p. Potocki zaczął protestować i był bardzo oburzony, że impreza została tak zerwana.

W roku 1992 wyruszyłem wspólnie z obu naszymi eksploratorami – z Piotrem i z Maciejem, zaopatrzony w zapas kolorowych koszulek z reklamowymi napisami, tanich szminek z dumnym napisem „Paris” na oprawkach (co jednak wcale nie znaczyło, że miały cokolwiek wspólnego z Paryżem!) i dość tandetnych, lecz o wiele lepszych niż dostępne w Sowietach, lakierów do paznokci. Podróż, jak na rosyjskie warunki była luksusowa – mieliśmy trzy miejsca w czteroosobowym przedziale, pościel dostaliśmy bardzo porządnie wyparzoną i tak śmierdzącą jakimś straszliwym mydłem, że na pewno wszystkie insekty w niej wyzdychały. Woleliśmy zresztą nasze lekkie śpiwory. W przedziale duszno, naturalnie wszystkie okna w wagonie zamknięte na głucho, a ustęp zamykany na kwadrans (a nieraz godzinę przed stacją, a potem jeszcze jakiś czas po wyjeździe – co było nazywane „sanitarna zona”) przed każdorazowym postojem.

Pewną sensację wśród pasażerów budziły torebki naszej herbaty ekspresowej. W pociągu, którym przyjechaliśmy do Moskwy, herbatę roznosiła za drobną opłatą konduktorka, na liniach wewnętrznych podróżni biorą sobie „kpiatok” z ogromnego samowara znajdującego się w każdym wagonie. Po korytarzu snują się postacie Rosjan z wrzątkiem w słoikach okręconych jakimiś ręcznikami, podróżujący Azjaci na ogół posiadają zgrabne metalowe dzbanuszki.

Do Kokczetawy (a właściwie do Koksztetu, bo wkrótce Kazachowie przywrócili kazachską formę tej nazwie) już nie jest daleko, więc po paru dniach jazdy pociągiem wysiadłem w stolicy kazachstańskiej Polonii. Przenocowałem u znajomych Piotra, Andrzeja i Tamary Jaworskich i nazajutrz pomaszerowałem do siedziby tamtejszego oddziału Stowarzyszenia Polskiego „Polonia Północna”. I od razu wzbudziłem popłoch. Kto mnie zaprosił? Bo KGB będzie się ich czepiać, że nie zgłosili wcześniej mojego przyjazdu... Wprawdzie zaproszenie miałem nie od nich, ale od Fundacji Żardem, lecz gdy przyjeżdża niezapowiedziany wcześniej Polak, to do nich mają pretensje... I nic nie pomagają tłumaczenia, że skąd oni mogą wiedzieć o czyichś projektach, że przecież nikt nie jest zobowiązany do powiadamiania o tym Związku. Mają wiedzieć i koniec. Wprawdzie dzisiejsze KGB, to nie to co dawniejsze NKWD, ale nauczeni doświadczeniem ludzie wolą być ostrożni.

W porządku, pomaszerowałem do siedziby KGB, długo rozmawiałem nawet z dość sympatyczną milicjantką, która bardzo się interesowała po co

przyjechałem i na jak długo. Odpowiadałem, uważając, aby nie łżeć więcej niż trzeba i już zarejestrowany, z wbitą pieczęcią do paszportu (!) mogłem swobodnie poruszać się po całej kokszetauskiej „obłasti”. Pożegnany byłem miłym uśmiechem. Cóż, milicjantka też chętnie używa szminki – zwłaszcza z napisem „Paris” na opakowaniu...

Wkrótce poznałem wszystkie instytucje związane z tutejszymi Polakami. Oczywiście w pierwszym rzędzie z fundacją Żardem, oficjalnie mającą nawiązywać kontakty handlowe pomiędzy Polską a Kazachstanem, a w rzeczywistości mającą za zadanie dawanie przykrywkę dla naszej działalności. Następnie kokszetawski oddział Stowarzyszenia Polaków, który dysponuje niewielką biblioteczką, stara się nawiązywać kontakty z Polską a jego prezes regularnie był wzywany do KGB na nie zawsze miłe rozmowy. Raz na parę tygodni do Kokszetau przyjeżdżał z Czkałowa ksiądz Krzysztof Kuryłowicz lub biskup Piotr Lenga z Krasnojarska, a wtedy lokal Związku Polaków zamieniał się w kaplicę.



Polski chór „Stepowe Kwiaty” z Kokszetau.

Ponadto był tu prężnie działający polski klub sportowy „Wisła”, polski chór i zespół taneczny, w miejscowej uczelni pedagogicznej pracują polscy nauczyciele... Zwłaszcza podobał mi się niewielki chórek polski, o romantycznej nazwie „Stepowych Kwiatów”, prowadzony przez panią Irenę Osowską (z którą później zetknąłem się w Lublinie, gdzie przebywała na jakimś kursie dla działaczy polonijnych). Oprócz Polaków w tym chórze śpiewa również Rosjanka i Tatarska, a choć nawet nie wszyscy Polacy znają język polski, śpiewają bezbłędnie nawet bardzo trudne teksty. I to w takim tempie, że chyba ja nie dałbym rady!

Praca była naprawdę żmudna i nieefektywna. Jeździłem po terenie, odwiedzałem polskie kołchozy, zbierałem informacje. Ludzie byli przeważnie przestraszeni, nie zawsze chętnie mówili, choć czasem przeciwnie, w każdym przyjeździe Polaku chcieli widzieć przedstawiciela rządu polskiego, kogoś kto przyjeżdża, aby umożliwić im wyjazd do Polski. Do Polski szczęśliwej, bogatej, gdzie nikogo nie więżą, pełnej dóbr i uprzejmych ludzi. I wtedy ciężko mi było

tlumić nadzieje, tłumaczyć, że ja nic nie mogę, nie jestem niczym wysłannikiem i nie mogę nikogo zaprosić do Polski. A potem słuchałem opowieści o aresztowaniach, o rozstrzelaniu większości mężczyzn, o wywózce do Kazachstanu, podczas której masowo umierały niemowlęta i starcy, a potem wyrzucano ich w step – i polecenie wybudowania ziemianek, w których mieli mieszkać. Dopiero w kilka lat później, w drodze łaski Stalina, pozwolono im pobudować skromne domy zwane „stalinkami”. Niewiele rzeczy mogli zabrać ze sobą – zapewniano im, że na nowych siedzibach już wszystko czeka na nich. Niektórzy brali ze sobą jakąś skrzynię, widziałem nawet przywiezione ze sobą żarna, a najcenniejsze rzeczy – pasyjki czy niewielkie święte obrazy – przewożono czasem w brudnych pieluszkach, w przekonaniu, że nawet enkawudzista nie będzie chciał grzebać się w dziecięcych kupkach.

Nie wolno im było opuszczać kołchozu, do którego byli przydzieleni – nie mieli żadnych dokumentów – nawet jak ktoś musiał jechać do miasta do lekarza, to musiał dostać specjalną przepustkę od szefa kołchozu. Dzieci chodziły do rosyjskiej szkoły, a gdy doniesiono, że w domu rozmawia się po polsku, to miejscowy enkawudzista przychodził z „przyjacielską dobrą radą”, aby dla dobra dzieci rozmawiać po rosyjsku, bo dziecko w szkole będzie miało zły akcent.

Oczywiście nie można było przyznawać się do praktyk religijnych, toteż nowonarodzone dzieci chrzcili potajemnie jakiś starszy mężczyzna (chrzest to sakrament, a więc, jak wierzono, tylko mężczyzna mógł go sprawować). Młodzi przed wyjazdem do urzędu stanu cywilnego, przy zasłoniętych oknach klękali przed rodzicami i ci błogosławili ich wyciągniętym z ukrycia świętym obrazem, pogrzeby natomiast prowadziła któraś z najstarszych kobiet – takich, których nawet NKWD już się nie czepia.

Dostałem raz mylną informację o polskim kołchozie – jak się jednak okazało był to kołchoz niemiecki, zamieszkały przez osadników niemieckich, w czasach carowej Katarzyny osadzonych nad Wołgą, a w czasie wojny przesiedlonych do Kazachstanu. Ich los, jako potencjalnych zwolenników Niemiec był jeszcze gorszy niż Polaków. Rozmawiałem z nimi po rosyjsku – to był ich codzienny język, znajomość języka niemieckiego u nich była znacznie gorsza niż nienajlepsza moja. Właściwie ograniczała się tylko do znajomości psalmów i najpospolitszych modlitw.

W mych wędrówkach w miarę możliwości korzystałem z pomocy nauczycieli polskich, którzy przyjechali do Kazachstanu na paroletnie kontrakty. Dzięki nim ożywa znajomość polskiego i powstaje prawdziwy obraz Polski. Ludzie coraz śmieiej przyznają się do polskości – ale ilu Polaków naprawdę żyje w Kazachstanie, nikt nie jest w stanie powiedzieć. Na pewno więcej niż 60 tys. Według opinii tamtejszej Polonii – ponad 100 tys. Ale ilu naprawdę? W każdym razie, gdyby nasze władze naprawdę chciały – miejsce dla tej garstki w Polsce znalazłoby się.

Po śmierci Stalina nastąpiła pewna stabilizacja, każdy dostał dowód osobisty (zwany paszportem), dzięki któremu mógł już wyjeżdżać poza swój kołchoz, pobudowano sobie domy. W konsekwencji część młodzieży wyjechała do szkół miejskich, zaczęła kontaktować się z młodzieżą z sąsiednich kołchozów zamieszkałych przez przedstawicieli innych narodowości, rozpowszechniły się małżeństwa mieszane, toteż dziś można spotkać wiele osób przyznających się do polskości i nie umiejących ani słowa po polsku. Pozwolono nawet otwarcie

wyznawać swoją religię, nieliczni księża już nie musieli się ukrywać, gdzieś tam zaczęto wznosić kościoły. I to czasem nawet wspólnym wysiłkiem całego kolchozu budowano wspólnie kościół dla Polaków i meczet dla Kazachów. Ale dotychczas tak Polacy, jak i Kazachowie byli w podobnej sytuacji, byli obywatelami drugiej kategorii tego samego wielonarodowego państwa. A jak ułożą się stosunki, gdy Kazachstan uzyska niepodległość?

Nieraz słyszałem wypowiedzi:

Z Mongolii wracają do Kazachstanu ci Kazachowie, którzy kiedyś wyjechali z Kazachstanu do Mongolii i Chin. I Polacy, którzy mieszkają we wsiach, bardzo się tego obawiają, bo najpierw do wsi przyjeżdża jeden Kazach, potem dziesięciu, piętnastu, potem dyrektorem szkoły będzie Kazach, a potem dyrektor całego sochozu będzie też Kazach. Potem przyjdzie się rozmawiać po kazachsku. To będzie tragedia. I dlatego wielu chce wracać.

Raz rozmawiałem z Chasemem Kozachmetowem w Ałmaty, przywódcą opozycji kazachskiej (organizacja „Żeltoksan”), mającym zresztą po babce ćwierć krwi polskiej (po zamieszkach narodowościowych w Ałmaty 1986 roku, Kozachmetow został aresztowany i osadzony w więzieniu). I usłyszałem:

Ziemia kazachska nie należała do poszczególnych osób, ale do rodów. I teraz oni nie mogą dawać ziemi nikomu obcemu, bo jak wrócą z zagranicy Kazachowie, to mogłoby zabraknąć dla nich. Dlatego mogą Polakom ziemię wypuścić w dzierżawę, ale nigdy nie na własność, toteż każdy Polak nie może być pewny swej ziemi. A byłeś na cmentarzu? Tam pójdziesz i czytasz: Śliwiński, Kokorski i wszyscy, wszyscy Polacy.

Nie było to jedyne zagrożenie dla miejscowych Polaków. Wraz ze zbliżającym się rozpadem Związku Radzieckiego powstał problem granic przyszłych państw sukcesyjnych. Między innymi Sołżenicyn głosił potrzebę odcięcia się Rosji od azjatyckich, muzułmańskich w większości terenów i stworzenia państwa opartego na ludach słowiańskich, czyli na Rosji, Ukrainie, Białorusi i na północnym Kazachstanie, zamieszkałym w większości przez Rosjan.

Ożywiło to ruchy kozackie, które zaczęły się przygotowywać do ewentualnego zbrojnego wystąpienia i nawoływać Polaków do współdziałania w imię wszechsłowiańskiej solidarności. Nielegalne organizacje kozackie, działające na terytorium Północnego Kazachstanu próbowały przyciągnąć do swych szeregów miejscowych Polaków, a nawet Niemców. Wielokrotnie omawialiśmy ten problem, na szczęście Polacy okazali rozsądek i nie chcieli angażować się po stronie rosyjskiej. Kozacy zorganizowani byli w małe grupy, przeważnie 10-osobowe (pod przywództwem dziesiętników), nad nimi czuwali miejscowi atamani, którzy podporządkowani byli zakonspirowanym atamanom obwodowym. Zbierali broń, nierzadko przywozili automaty, niemieckie smeißery, z Rosji. Pod pozorem szukania wojennych grobów z czasów wojny, grupy „kozaków” z Kazachstanu jeździły na największe pola bitew sowiecko-niemieckich i tam eksplorowały znalezione (dobrze zakonserwowane) hitlerowskie magazyny z bronią. Hlebowicz był w jednym mieszkaniu w Pietropawłowsku, gdzie kozacy mieli swój magazyn broni. Oprócz automatów i pistoletów niemieckich, widział także pociski moździerzowe, czuby pocisków armatnich, granaty. Wszystko w bardzo dobrym stanie.

Z czasem, podczas następnych przyjazdów poznaję drugie dno polskich instytucji w sowieckim Kazachstanie. Istnieją tu dwa Związki Polaków. Gdy bodajże w roku 1990 w Kokczetawie powstało stowarzyszenie z inicjatywy: Anatola Diaczyńskiego, Antoniny Kasonicz, Piotra Kuberskiego i Niny Rupety, to równocześnie konkurencyjna organizacja została zorganizowana przez władze. Jednego dnia do komitetu wojewódzkiego partii została wezwana pewna ilość ludzi (nie wszyscy z nich byli Polakami, ale to nikomu nie przeszkadzało) i powołano stowarzyszenie obwodowe, którego przewodniczącą została niejaka Olga Przyłucka z Krasnoarmiejska. Na swojego zastępcę wyznaczyła człowieka, związanego ze służbami specjalnymi.

Nie było prawie współdziałania pomiędzy stowarzyszeniami tzw. obwodowym, a tym, miejskim, które stworzył Diaczyński z resztą inicjatorów. Mieli problemy z rejestracją stowarzyszenia „Polonia Północna”, gdyż władze argumentowały: „przecież już macie stowarzyszenie, po co wam drugie?”. Co najgorsze, ten oszukańczy dualizm trudno było uświadomić władzom w Polsce i Wspólnocie Polskiej, które bardzo długo w swoich biuletynach umieszczały Przyłucką jako kontakt główny w Kazachstanie z tamtejszą Polonią. I do niej posyłał sprzęt techniczny oraz inną pomoc.

Wprawdzie ta odgórna organizacja nie chwyciła, a wkrótce powstał naprawdę polski związek, ale władze wszelkie fundusze, które musiały dać na działalność organizacji mniejszościowych, przekazywały związkowi partyjnemu, z poleceniem podziału pomiędzy oba. Właściwie przewagę prawdziwemu związkowi dał m.in. wybór w roku 1994 na prezesa Franciszka Bogusławskiego, człowieka niezależnego, z którym wszelkie władze musiały się liczyć, gdyż kierował całą telekomunikacją rejonu Karagandy. Jednak Bogusławski mieszkał i pracował w Karagandzie, a na miejscu w Kokszetau związkiem kierował pan Anatol Diaczyński, niezły literat, człowiek który po przeniesieniu się z rodziną do Polski, obecnie mieszka w Stalowej Woli, napisał książki: *Myśmy do stepów unieśli Ojczyznę*, Szczecin 1994; *Legends stepowe*, Białystok 1997; *To my jesteście, Polsko!*, Stalowa Wola 2000; *Po kraju, którego już nie ma*, Stalowa Wola 2002; *Tętent koni przez wieki*, Tuchów 2012 i parę innych. Niestety, władze z nim specjalnie się nie liczyły. A partyjny związek starał się brudzić, jak tylko mógł – właśnie od nich czerpała swe informacje wspomniana już reporterka „Gazety Wyborczej”.

Oczywiście istnieją też Polacy pozostający w służbie KGB. Kiedyś pan Władimir Carewski bardzo serdecznie ofiarował mi gościnę w swoim domu. Nie mogę narzekać – gościna była naprawdę serdeczna. Pani domu dbała o mój żołądek, pan starał się pomagać w mej pracy – ilekroć miałem problemy z dojazdem do którejś z interesujących mnie miejscowości, to pytałem go, czy nie wie o kimś, kto przypadkiem jedzie w tamtym kierunku. I czasem nawet już nazajutrz dowiadywałem się, że jakiś jego znajomy akurat wybiera się w tamtą okolicę i chętnie mnie weźmie ze sobą. W ten sposób wszyscy byliśmy zadowoleni: ja jechałem tam, gdzie chciałem i przynajmniej wiedziałem, kto ma na mnie uważać (wolę to od plątającego się za moimi plecami cienia). KGB spełniało swoją powinność i wysyłało za mną swego funkcjonariusza, który na ogół zresztą nawet nie udawał, że w tej miejscowości ma coś ważnego do załatwienia, tylko spokojnie spał w samochodzie, a mój gospodarz na pewno zyskiwał pochwały za obywatelską postawę. Carewski był prezesem „Wisły” – polskiego

klubu sportowego. Biuro klubu pełne polskich symboli, polskie napisy, polskie orły, różne proporzyczki klubowe (oczywiście z proporzyczkiem krakowskiej „Wisły”, z którą „Wisła” kokczetawska nawiązała kontakty, na pierwszym miejscu) – czyli właściwie człowiek powinien czuć się tu jak w Ojczyźnie. Na dodatek prezes klubu umieścił na swych wizytówkach polskiego orła. Ale... wśród sportowców należących do klubu nie ma wielu Polaków, a sam klub służy jako przykrywka dla różnych dochodowych przedsięwzięć. Wiedziałem o projektach otworzenia przy nim agencji matrymonialnej, a także agencji pośrednictwa pracy w Polsce i na Zachodzie. Później spotkałem się z międzynarodowym handlem samochodami.

Samo pochodzenie tak prezesa, jak i jego żony (zresztą uroczej i bardzo mi życzliwej) było dość skomplikowane, oboje mieli chyba nie za wiele polskiej krwi. Gdy gościłem u nich, pan Władimir Carewski z dumą pokazywał mi pomieszczenia w tamtejszym domu sportu, wszędzie przedstawiając mnie jako przybyłego z Polski profesora... Akademii Wychowania Fizycznego! Moje sprostowania nic nie dały, okazało się, że to nie była z jego strony pomyłka, profesor tego rodzaju polskiej uczelni był mu po prostu bardzo potrzebny do podbudowania jego autorytetu w środowisku sportowym. A akurat klub „Wisła” był organizatorem „międzynarodowych” zawodów w walkach grecko-rzymskich... Trudno, jako gość musiałem stracić nieco czasu na oglądanie różnych osiłków, przewracających się na matach. I podziwiać „międzynarodowe” zawody, w których uczestniczyli zawodnicy Kazachstanu, Uzbekistanu, Azerbejdżanu i innych byłych sowieckich republik.

Po zakończeniu zawodów zostałem zaproszony do wspólnego ze sportowcami wyjazdu na odpocznik. Początkowo mówiono o Borowoje, więc chętnie się zgodziłem. Miałem ochotę na zobaczenie tego słynnego uzdrowiska. W ostatniej chwili okazało się jednak, że jedziemy do innej miejscowości, też wypoczynkowej i też nad jeziorem. Wyprawa była niemal całkowicie męska. Jechał cały autobus zapaśników, którym towarzyszyło tylko parę pań, potrzebnych do przygotowania szaszłyków.

Po przybyciu na miejsce całe towarzystwo wysypało się z autobusu i zaczęło wynosić skrzynki z wódką – co chwilę podchodził do mnie kolejny sportowiec z dwoma pełnymi musztardówkami w rękach i mówił: – Pan profesor, napijesz się ze mną... Na szczęście wódka jest bezbarwna, czym prędzej więc chwyciłem w jedną rękę musztardówkę napełnioną wodą, przyjmowałem w drugą przyniesioną mi musztardówkę z wódką, trącałem się z życzliwym mi zawodnikiem, ściskaliśmy się po sowiecku, popijałem tęgi łyk wody – i gdy tylko zadowolony odchodził, wylewałem wódkę pod najbliższy krzaczek. Ku radości obserwującej me zabiegi Antoniny Obuchowicz – polskiej pracownicy biura klubu – która mi w miarę potrzeby dolewała wody. A że korciło mnie jezioro postanowiłem nieco popływać, mimo że próbowano mi wytłumaczyć, że po takiej ilości wypitego alkoholu kąpiel może skończyć się tragicznie. Odpowiedziałem, że jestem jeszcze zupełnie trzeźwy i że doskonale zdaję sobie sprawę, kiedy jeszcze mogę pływać, a kiedy już mi nie wolno. A po obiedzie, gdy tłustą baraninę trzeba było rzeczywiście zapijać wódką, już do wody nie wchodziłem. Gdy wracaliśmy, w autobusie trzeźwy był tylko Carewski (jako organizator prawie nie pił, poza tym prawdopodobnie musiał służbowo na wszystko uważać), kierowca i ja. Potem dowiedziałem się, że „polski profesor”

zaimponował całemu gronu: – Tyle wypić, a nic po nim nie było widać – i jeszcze spokojnie pływał! Ten ma mocny łeb!

W 1996 roku współpracująca z nami radomska fundacja „Pomost” organizowała kolejny transport darów do Kazachstanu – zaproponowano mi udział w wyprawie. Nie trzeba mi było tego dwa razy powtarzać, dawno miałem w planie dotarcie do Kirgizji, zawsze z Kazachstanu, bo byłby to już tylko skok. A ludzi z „Pomostu” zdążyłem już poznać – mili, rzeczowi, wiedziałem, że będą dobrymi towarzyszami tej dość przecież długiej i niezbyt czasami wygodnej podróży. Zwłaszcza główny organizator całej wyprawy, Wiesław Mizerski. Na dodatek w Ałmacie mogłem liczyć na zatrzymanie się u pracującego tam w jakiejś amerykańskiej fundacji lekarskiej syna mego dobrego znajomego. A to było ważne, czasy tanich podróży po terenach eksowskieckich minęły bezpowrotnie. Na dodatek krakowska „Wspólnota” zaproponowała mi zorganizowanie wystawy poświęconej 60. rocznicy wywózki Polaków do Kazachstanu i napisanie katalogu – jako honorarium miałem dostać równowartość ceny biletu lotniczego z Ałmaty lub Biszkeku do Warszawy. Czyli powrót też miałem zapewniony. Termin wyjazdu jak zwykle nieco się przesunął, ostatecznie jednak 14 czerwca konwój opuścił Radom. Dwa TIR-y, jeden wyładowany darami głównie „Pomostu”, ale także i fabryki obuwia w Radomiu i krakowskiego Społecznego Komitetu Pomocy Polakom w Azji środkowej; drugi Wspólnoty Polskiej oraz Ministerstwa Edukacji Narodowej, które wysyłało pomoce dla polskich nauczycieli.

Nasza mała grupka mościła się w mikrobusie, ostatecznie podzieliliśmy się na dwie „grupy” – pierwsze miejsca zajęli palacze, a niepalący i nie lubiący dymu tytoniowego, czyli ksiądz Domagała i ja, ulokowaliśmy się wygodnie w tyle. Za nami były jeszcze wolne miejsca, założone różnymi kocami, więc czasem można się było wyciągnąć do spania. Może niezbyt wygodnie, bo na nogi już miejsca nie było, ale zawsze wygodniej niż na fotelu samochodowym. Wyjazd z Warszawy filmowała telewizja, mówiono mi potem, że oglądano mnie, jak wsiadałem do wozu. Ciekawsze chyba byłoby sfilmowanie, jak wysiadałem. Po sześciu dniach podróży, nocowania w mikrobusie zajmowanym przez sześciu rosłych mężczyzn, ich bagaż i zapasy żywności, chyba wszyscy nie wyglądaliśmy zbyt efektownie. Pół biedy ja, bo i tak noszę brodę, ale pozostali członkowie naszej wyprawy przypominali chyba zbójców z „Powrotu taty”.

19 czerwca przekroczyliśmy granicę rosyjsko-kazachstańską, i wieczorem dotarliśmy do Oziornoje, serdecznie witani przez księdza Tomasza Petę (obecnie już biskupa), który pamiętał mnie jeszcze z mojej poprzedniej wizyty, przez pana Czesława, pełniącego tu funkcję organisty i katechety oraz przez siostry zakonne. Jedna z nich jest pielęgniarką i opiekuje się parafialną apteczką, więc oddajemy jej lekarstwa gromadzone głównie przez Fundację „Pomost”. Wiemy, że nie zostaną rozkradzione, jak to bywało z transportami pani Ochojskiej, gdy zaraz po jej odejście całe paczki leków wprost ze szpitali trafiały na bazar. Ksiądz z dumą pokazuje kościół – rok temu poświęcony przez księdza prymasa Glempa – który oglądałem jeszcze w stanie surowym, a potem rozwozi nas po kwaterach we wsi. Mnie lokuje u Dembickich, przyjmują mnie bardzo ciepło – nic dziwnego, dwa lata temu panią Dembicką gościliśmy w Krakowie. Więc wielka radość, wspomnienia, a nazajutrz spotkania z pozostałymi uczestnikami owej podróży do Krakowa.

W następnych dniach, oprócz pracy przy wyładowywaniu samochodu, długie rozmowy z ludźmi. Czasem bardzo trudne. Dostaję informacje o tutaj-szych mieszkańcach – dobrych Polakach – których należałoby w pierwszej kolejności ściągnąć do Polski. Tak, ale jak to zrobić?

Jakże trudna jest świadomość, że można tylko zasypywać władze pismami, które na pewno od razu lądują w koszu, a tak niezmiernie rzadko można komuś pomóc konkretnie. I drugi temat bolesny.

Tu polskość przetrwała tylko dzięki modlitwie. Modlitwie po polsku. Ludzie budowali kościół nie tyle katolicki, co polski (tak samo zresztą, jak we wsiach zamieszkałych przez Niemców, budowano kościół niemiecki). A budować było ciężko. Po całodziennej pracy w kołchozie harowali przy tej budowie, ryzykując nieraz więzienie za kradzież materiałów budowlanych, których nie można było legalnie uzyskać. I kościół stoi. Kościół ich duma, ich radość. I do tego kościoła przyjeżdża: polski ksiądz, polskie zakonnice. I wraz z nimi wchodzi – rosyjska modlitwa. Więc się buntują, ale po cichu. Z płaczem skarżą się na jedną z zakonnice, która „ruszczy”, czyli w kościele zaczyna śpiew po rosyjsku. Ale jedyną reakcją jest stanowcza wypowiedź człowieka, który pracuje społecznie przy urządzaniu wnętrz pomieszczeń dla sióstr: nie będzie wykańczał jej pokoju. Starzy ludzie płaczą, ale boją się mówić o tym księdzu. „Bo czy walka z postępowaniem zakonnicy nie będzie grzechem?” Namawiam kobiety, aby nie dały się sterroryzować siostrze, i jak ona zaczyna śpiew po rosyjsku, to niech one podejmują go głośniej po polsku.

Rozumiem trudną sytuację księdza. Jest podległym ks. bpa Jana Pawła Lengi, który próbuje budować tu katolicki Kościół Azji Środkowej. Katolicki, a więc powszechny. A w tym wielonarodowym społeczeństwie wygnańców jedynym wspólnym językiem jest język rosyjski. I dla wielu ludzi, zwłaszcza młodszego pokolenia, jest to język, którego używa się na co dzień. Więc powinien też być językiem katechezy. Z językiem liturgii też są kłopoty – w społeczeństwie wielonarodowym Kazachstanu jedynym językiem przez wszystkich zrozumiałym jest rosyjski, wobec czego ten język jest forsowany także w kościele. I tu następuje konflikt: ks. bp J. P. Lengę chce tworzyć katolicki kościół Azji Środkowej, kościół grupujący wiernych niezależnie od ich narodowości, a więc kościół rosyjskojęzyczny. Dodatkowym argumentem jest tu fakt, że język polski czy niemiecki często już nie jest zrozumiały dla młodszego pokolenia. Ale chyba nie należy przesadzać.

Ludzie w Oziornoje i w wielu innych polskich wsiach chcą, aby dzieci uczyły się religii po polsku, aby ta nauka przyczyniała się także i do podtrzymania u nich znajomości języka ojczystego, a nie sprzyjała szybszej rusyfikacji. Z drugiej jednak strony ludzie budowali tu i dalej budują kościoły kosztem wielkich wyrzeczeń, wkładają w budowę ogromny wysiłek po to, by mieć swój polski kościół, podobnie jak we wsiach niemieckich – niemiecki.

W kościele chcą widzieć nie tylko instytucję religijną, lecz również oparcie dla podtrzymania swej narodowości, swego języka. Uważają, chyba słusznie, że właśnie nabożeństwo i katecheza w języku ojczystym pozwolą na przywrócenie młodzieży języka polskiego. Nie mają nic przeciw nabożeństwu po rosyjsku dla katolików innych narodowości, ale nie chcą spychania swojego języka na plan drugi. To jest ich kościół, oni go budowali, i jest im przykro, gdy nagle stwierdzają, że w nim nie są i siebie. Więc księża kombinują, jak mogą.

Msze są jedne po polsku, drugie po rosyjsku, nawet w miejscowościach, w których wiadomo, że na msze rosyjskie przyjdzie tylko grupa staruszek, które wprawdzie wołałyby nabożeństwo po polsku, ale przychodzą bo ta Msza św. jest akurat w wygodnych dla nich godzinach. W Oziornoje byłem na Mszy św. odprawianej po rosyjsku, ale z połową polskich pieśni i z polskim wystawieniem Najświętszego Sakramentu.



Na polskim cmentarzu.

Byłem też na uroczystości pięćdziesięciolecia ślubów zakonnych polskiej zakonnicy, która dopiero parę lat temu przyjechała z Polski i ze zdumieniem słyszałem, jak ks. biskup J.P. Lenga, który przecież doskonale zna język polski, podczas całej uroczystości mówił do jubilatki bardzo serdecznie – ale tylko po rosyjsku. Po polsku ani jednego słowa. I gdy później rozmawiałem z różnorodną grupą księży na temat tej uroczystości, to stwierdziłem, że gdybym ja był biskupem, a zakonnica Chinką, to postarałbym się podczas jej jubileuszu powiedzieć po chińsku choćby „szczęść Boże”.

Ksiądz biskup J. P. Lenga nie uchodził tu za przyjaciela Polaków. Mówiono, że obawia się dominacji polskiego Kościoła, że nie chce czuć jakiejś zależności od prymasa Polski. On tu, na terenie Azji Środkowej, jest mu przecież równy. Ale jak na 45 księży w jego diecezji 30 przyjechało z Polski, to mógłby pamiętać, że mają oni nie tylko obowiązki kapłańskie, ale i narodowe. Inna rzecz, że i polscy księża mogliby bardziej twardo się stawiać.

Termin naszego przyjazdu do Oziornoje był tak wybrany, aby trafić na wielki odpust organizowany w tej parafii w sześćdziesięciolecie osiedlenia tu Polaków. W niedzielę 23 czerwca do Oziornoje zaczęły nadciągać grupy z innych miejscowości. Gdy po raz pierwszy byłem w Kazachstanie, nie myślałem, że będę mógł oglądać takie sceny: przez step idą pielgrzymki, czasem z flagami białymi i żółtymi, poprzedzane krzyżem. Za nimi jadą autobusy z ludźmi starszymi i z małymi dziećmi – trasa pielgrzymki wynosi nieraz ponad 30 kilometrów. Od dawna obserwowałem zmiany, jakie zachodziły w postsowieckiej Azji Środkowej, ale czegoś takiego nie spodziewałem się: do Oziornoje ciągnęły przez step prowadzone przez księży lub zakonnice pielgrzymki ze wsi oddalonych nieraz o kilkadziesiąt kilometrów. Szły pieszo, ze śpiewami religijnymi, poprzedzał je krzyż. Szły grupy polskie i niemieckie – w okolicy jest bowiem kilka wsi niemieckich. Idzie taka grupa, na początku widzę dziewczynki w strojach krakowskich, biegnę z aparatem – i nagle słyszę głośny śpiew: *Vater unser...* Jak się okazuje, strój krakowski stał się tu mundurem reprezentacyjnym nie tylko małych Polek. Wśród nas kręci się też mała Inguszka, córka jedynej we wsi rodziny muzułmańskiej, także ubrana po krakowsku.

Przyjeżdża biskup i reszta księży (kilku już nocowało w Oziornoje, m.in. ks. Piotr, wesoły Francuz z Monako, który się wścieka, że Polacy mogli tak się zbłąźnić i wybrać prezydenta – komunistę). Po procesji zaczyna się koncelebrowana Msza św. w języku rosyjskim z czytaniem po polsku, niemiecku, francusku (to ostatnie czytanie oczywiście w wykonaniu ks. Piotra, który chyba tylko jeden je rozumiał), a wielojęzyczne Ojciec Nasz, było odmówione nawet po kazachsku, co było ładnym ukłonem w stronę goszczących na uroczystości przedstawicieli miejscowej administracji i policji. Po uroczystościach obiad w stołówce kołchozowej, podczas którego słuchamy przemówień, m.in. szefa kołchozu, który zaczął swe wystąpienie słowem „towarzysze”, a potem mówił o „towarzyszu biskupie”. I jeszcze ciekawe krótkie wystąpienie bardzo energicznego członka tutejszej rady parafialnej, zresztą Niemca i luteranina.

Przed dalszą podróżą robię parę wycieczek i przyglądam się tutejszemu gospodarstwu. Okazuje się, że gleba wcale nie jest tutaj tak urodzajna, jak myślano, gdy Sowietci przesiedlali tu Polaków i marzyli, że Kazachstan zastąpi zniszczone czarnoziemy Ukrainy. Tu urodzajna jest tylko cienka warstwa ziemi stepowej, po orce silne wiatry wywiewają ją, odsłaniając nieurodzajny podkład.

Pod tym względem groźne są zwłaszcza letnie burany pyłowe, nie tak niebezpieczne, jak burany zimowe, ale uniemożliwiające jakiegokolwiek poruszanie się przez parę godzin. W rezultacie z hektara zbiera się tu tylko dwie tony pszenicy.



Cmentarz jest także miejscem modlitwy. Wszystkie zdjęcia wykonał autor.

Nazajutrz po odpuście wyprawa rozdzieliła się: jeden TIR ma jechać dalej z darami, głównie ze sprzętem medycznym dla szpitala w Kellerówce, do rejonu którego należy wiele wsi polskich, drugi zawiezie do Karagandy materiały przeznaczone do nauki języka polskiego w szkołach środkowego i południowego Kazachstanu. Z tym były problemy: niepodobna rozwieźć je wszędzie tam, gdzie uczą nauczyciele z Polski. W Karagandzie zostawiliśmy materiały dla 7 chyba szkół północnego Kazachstanu – nie wiem jak nauczyciele radzili sobie z transportem ogromnej ilości książek, zeszytów, filmów itd. do swych, oddalonych czasem o kilkaset kilometrów miejscowości.

Przesiadam się do mikrobusu towarzyszącego transportowi pomocy szkolnych do Karagandy. Pożegnanie z Oziornym jest gorące. Serdecznie żegna nas ksiądz Tomasz i jego zespół, a rodzina inguska urządza przyjęcie. Żegnani jesteśmy bardzo uroczyście, na stole oczywiście czeka już dużo wódki (tutejsi muzułmanie mają – o ile w ogóle mają – zastrzeżenia tylko do wina, o wódce Koran nie mówi), ale na szczęście nie przymuszają do picia. Pijemy najpierw zdrowie gospodarzy, potem osobno za gospodynię, która zrobiła ucztę, za przyjaźń polsko-inguską i za wolną Inguszę. Ten ostatni toast na stojąco i z gromkim odśpiewaniem „sto lat”. Jesteśmy częstowani szaszłykiem po ingusku. Nie bardzo mi smakuje, są to po prostu żeberka baranie pieczone na wolnym ogniu. A potem słodka część programu.

Wprost z uczyty inguskiej razem z Antkiem (najmłodszym członkiem naszej ekspedycji) poszliśmy na pożegnalną kolację organizowaną dla nas przez rodzinę pani Dembińskiej. To przyjęcie miało być niespodzianką, dobrze, że na czas zorientowaliśmy się co się święci i że Antek wiedział, gdzie w Oziornym o każdej porze można kupić wódkę. Dostał dużą butelkę i to ponoć jakiś lepszy gatunek, tak że wypadliśmy „honorowo”. Cóż, ludzie w Kazachstanie piją dużo. Nie do pomyślenia jest przyjęcie bez wódki, a uchylanie się od wypicia często uważają za obrazę. Przyjęcie, mimo że w domu polskim, było zorganizowane na sposób kazachski (ale to specjalnie dla nas, abyśmy zobaczyli trochę tutejszej egzotyki) – gorący rosół (świetnie zabija wódkę) i *biszparmag*.

W drodze do Karagandy zatrzymujemy się w Akmole (obecnie Astanie), mieście przewidywanym na stolicę Kazachstanu. Niedawno rozmawiałem w ministerstwie o konieczności zakupienia w Akmole domu od licznych tu do niedawna, a teraz opuszczających Kazachstan Niemców. Tłumaczyłem, że dziś można kupić bardzo tanio, a jak tu przeniosą się władze, ceny domów od razu pójdą w górę. Wtedy zakupienie domu dla naszej ambasady okaże się bardzo kosztowne. Oczywiście dowiedziałem się, że nie ma na to pieniędzy. Może będą, gdy za dom trzeba będzie płacić parokrotnie więcej.

W Karagandzie (to też jest jeden z ośrodków polskości – tutaj sowieci osadzali wielu polskich górników), wyładowujemy TIR-a, podejmuje nas ksiądz Stanisław, z dumą pokazuje nowy kościół, który właśnie buduje, a że jacyś zakonnicy włoscy też budują, wkrótce na 1000 rzymskich katolików będą trzy kościoły. Ponadto grekokatolicy też mają swoją cerkiewkę, zbudowaną, a raczej zmontowaną, z gotowych części przysłanych w trzech TIR-ach przez jakąś niemiecką charytatywną instytucję. Także prawosławni wybudowali wielką cerkiew z monastylem, muzułmanie budują meczet, czyli wierni wszystkich wyznań odreażują okres przymusowej ateizacji.

Załatwiamy najtrudniejszą sprawę – zabranie w powrotną drogę do Polski obrazów Alfonsa Kułakowskiego, polskiego malarza z Ałmaty. Proszono mnie we „Wspólnocie Polskiej” o dopilnowanie tej sprawy. Nie było to łatwe, ale ostatecznie obrazy trafiły do Polski.

Bilet kolejowy z Karagandy do Ałmaty kupiłem bez trudu, minęły już czasy osobnych, wielokrotnie droższych biletów dla cudzoziemców. W moim przedziale jedzie też stary Kazach (jak się później zorientowałem znacznie młodszy ode mnie!), bardzo pobożny, regularnie rozkłada na swoim legowisku dywanik, bije pokłony i modli się. W pewnym momencie spojrzał na moje kolana, wskazał na lewe i stwierdził, że jest chore. Bo to, że miałem uszkodzoną prawą rękę, co mi też powiedział, to może dojrzeć każdy spostrzegawczy obserwator. Ale skąd on mógł wiedzieć o zabiegu, który przeszedłem parę lat temu i po którym nie ma żadnego widocznego śladu?

Potem zaczął przesuwac ręką na mojej głowie. W pewnym momencie miałem wrażenie, że ktoś wylał mi ukrop na głowę, a on stwierdził, że wprawdzie nie jest dobrze, ale to już starość. Poza tym mam problemy z sercem i z krążeniem. Diagnoza była bezbłędna. Okazało się, że jest uzdrowiaczem, który etatowo pracuje w Narodowym Centrum Medycyny Tradycyjnej. Pytał się, jak długo będę w Ałmacie i stwierdził, że szkoda, iż tylko parę dni, bo w ciągu miesiąca wykurowałby mnie jak trzeba.

W naszym przedziale dolne łóżka zajmuje dość przystojna Kazaszka z synem, pół Polakiem, Janowskim. Ale mąż jej umarł, gdy syn był mały, ona nie podtrzymuje kontaktów z rodziną męża czy z miejscową Polonią. Chłopak nie umie ani słowa po polsku, naturalnie nie ma też żadnego wychowania religijnego. Gdy pytam, czy nie dba o to, aby wychować syna w wierze jego ojca, odpowiada: „Sam wybierze”.

Mój sąsiad wrusza ramionami i stwierdza z niesmakiem, że ta kobieta jest wprawdzie z pochodzenia Kazaszka, ale właściwie jest nikim – jest kobietą „ogólnoradziecką”, bez poczucia obowiązku wobec swego zmarłego męża.*

*Przedruk książki: J. Kamocki, *Egzotyczne podróże etnografa. Azjatyckie wędrówki i poszukiwania polskich zesańców w ZSRR*, Krzeszowice 2013. Zainteresowani nabyciem tej publikacji mogą ją zamówić przez internet: kubajak@kubajak.pl albo telefonicznie: 12/282 62 65. Cena książki 22 zł. Książka była recenzowana na łamach „Zesłańca” i wzbudziła szerokie zainteresowanie.